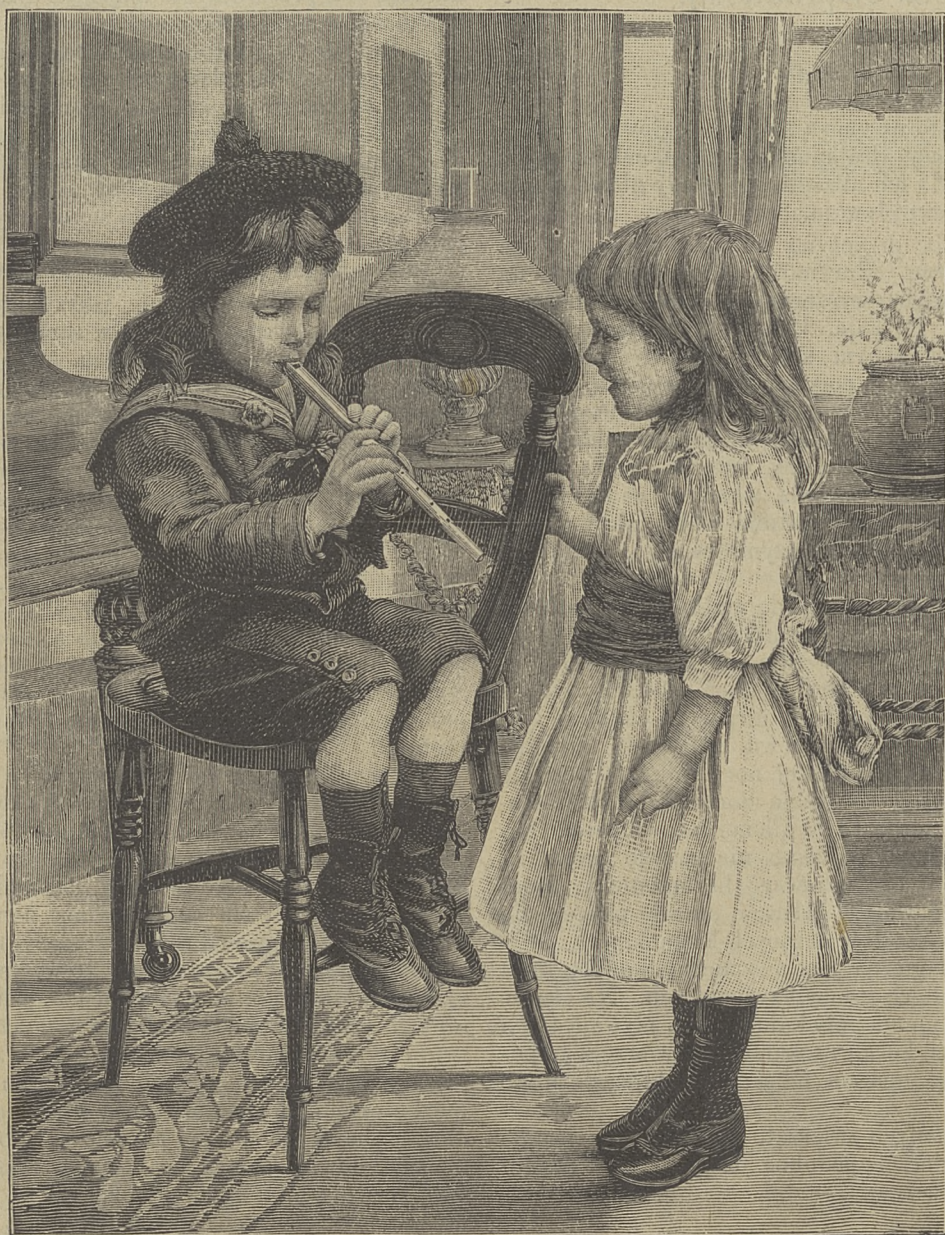




# WIECZORY RODZINNE

TYGODNIK ILLUSTROWANY DLA DZIECI



Mały artysta.

## MAŁY ARTYSTA.

A to zuch sobie! mały flecista,  
 Jakże on błogo z chwili korzysta.  
 Z wielką powagą na drobnej twarzy,  
 Dmie we swój flecik jak się tam zdarzy.  
 Nie pyta o to... bo mu się zdaje,  
 Że stąd melody cudna powstaje.  
 Przy nim siostrzyczka — miła dziewczynka.  
 U której świadczy radosna minka,  
 Że i jej także, przy innej braku,  
 Muzyka brata wielce do smaku.

## ŻYCIE W OCEANIE.

PRZEZ

Dr. M. Stefanowską.

(Dalszy ciąg.)

Wiemy już, że fosforescencya pochodzi głównie od nieskończenie wielkiej masy drobniuchnych roślinek zwanych *światliczkami*, lecz światło ich ukazuje się wtedy głównie, gdy porusza się woda w której pływają.

Światliczki bywają przyczyną innego jeszcze zjawiska zwanego *morzem mlecznym*. Marynarze widywali je często na oceanie indyjskim, najwięcej wyczerpujący opis tego zjawiska zostawił nam kapitan Pornain, który płynął przez morze mleczne w 1880 r. na wojennym statku *Armida*. 10 lutego około północy, gdy niebo było pogodne i bez księżyca, ujrano nagle na zachodzie jasność tak silną, że oficer dozorujący zaniepokoił się, sądząc, że to pożar na jakimś oddalonym statku. Ale po upływie pół godziny wszelka obawa znikła i załoga zebrała na pomoście ujrzała wkrótce, że ich statek wkracza w ogromną płaszczyznę matowo-białą, jakby mleczną. Morze podobne było do olbrzymiego pola, okrytego śniegiem, podczas księżycowej nocy.

Gdy się patrzy na płynącą wodę wzdłuż boków statku, to widzi się mnóstwo świecących, malutkich punkcików, które błyszczą jeszcze więcej, gdy ocierają się o statek. Są to drobniuchne roślinki. Gdy nastaje dzień, światło gaśnie i trzeba znowu czekać wieczora, aby ujrzeć to cudowne zjawisko. Następnej nocy załoga znowu zobaczyła mleczne morze, ale już mniej białe; czwartej nocy zniknęło zupełnie i nie ukazało się już więcej. Mleczne morze przez które statek *Armida* przepływał miało 1,000 kilometrów długości. Sądzą, że w żadnym języku ludzkim nie istnieje wyraz, za pomocą którego możnaby było oznaczyć liczbę istotek, które się w owym morzu znajdowały. Mleczne światło ukazuje się często we wszystkich morzach w gorących krajach.

Chociaż fauna pelagiczna jest niezmiernie bogatą, brak w niej jednak kilku wielkich gromad zwierzęcych. Na otwartej powierzchni oceanu niema gąbek dorosłych, pływają tylko ich lawiny; brak tu także koralu i szkarłupni, zwierzęta te potrzebują bowiem stałego oparcia na skałach, których tu nie znajdują dla siebie.

Oprócz wyżej opisanych zwierząt, na otwartym oceanie żyją także gatunki zwierząt podobne do tych, jakie poznaliśmy już w faunie pobrzeżnej.

### Fauna pelagiczna.

Zapoznamy teraz bliżej czytelników naszych z niektórymi zwierzętami pelagicznymi.

Gdyśmy w pierwszej części tej pracy opisywali rozmaite gromady zwierzęce, niewiele mówiliśmy o tak zwanych *osłonnicach*, a to dlatego, że najważniejsze gatunki, należące do tej gromady, żyją zdala od lądu.

Wspominaliśmy wprawdzie o *zachwach*, zwierzętach różnobarwnych, rosnących gromadami na pobrzeżnych skałach morskich. Na otwartym morzu żyją liczne pokrewne im gatunki, mające beczułkowaty kształt ciała; pływają one wolno po powierzchni morza bądź pojedynczo, bądź zrosnięte w długie łańcuchy, jak np. *sprzągła* (*Salpa*) fig. 99. Delikatne te zwierzęta wydają w nocy piękne światło różnobarwne, a pod tym względem najwspanialszym jest gatunek, zwany *iskrzyłudą* (*Pyrosoma giganteum*) fig. 100.

Widzimy tu mnóstwo workowatych, zrosniętych ze sobą zwierzątek, które tak się ugrupowały, że wytworzyły wałkowate ciało, wewnątrz próżne, a przezroczyste, jak najczystszy kryształ szlifowany. W owej kryształowej masie widać liczne szkarłatne punkciki, niby rubiny, osadzone w kryształach, są to wnętrzości każdego pojedynczego zwierzątka. Iskrzyłuda zamieszkuje ocean Atlantycki i inne morza, a dochodzi często do znacznych rozmiarów, gdyż podczas wyprawy statku *Talisman* złowiono i przywieziono do Europy okaz iskrzyłudy, która miała dwa metry długości.

Takie wałkowate kolonie pływają po powierzchni wody kurcząc swe przezroczyste mięśnie. a za każdym skurczeniem wyrzucają w nocy strumienie światła.

Światło wypływa z mnóstwa plamek, umieszczonych w równych prawie odstępach jedne od drugich. Każde malutkie zwierzątko w kolonii, posiada dwie takie plamki na szyi. Ryc. 101 wyobraża właśnie narządy świecące iskrzyłudy. Możemy łatwo wyobrazić sobie, jak silnie iskrzą się takie kolonie, gdy uprzytomnimy sobie, że kolonia, mająca 8 centymetrów długości, składa się w przybliżeniu z 3,200 zwierzątek, a zatem posiada 6,400 świecących punkcików. A cóż dopiero mówić o kolonii mającej dwa metry długości.

Oto jak Péron opisuje iskrzyłudę z oceanu Atlantyckiego „Gdy iskrzyłuda jest w ruchu, cała jej powierzchnia nagle się zapala i w okamgnieniu staje się czerwoną jak rozpalone żelazo, silnie lśniące; a jak ostygające żelazo zmienia swe barwy, tak iskrzyłuda gasnąc, przechodzi przez piękne i delikatne barwy: czerwoną, różową, pomarańczową, zieloną i błękitną. Iskrzenie się zwierzęcia można wywołać i podtrzymywać sztucznie, dotykając je zlekką lub nawet poruszając wodę w naczyniu, w którym się ono znajduje”.

Pięknie świeci również przezroczysty ślimak *Phyllirohoe bucephalum* przedstawiony na ryc. 102. Gdy dotknąć owego ślimaka palcem, lub wlać nieco amoniaku do wody, w której zwierzę się znajduje, to z ciała ślimaka wytryskuje natychmiast silne światło błękitnej barwy (patrz ryc. 103) Światło to nie udziela się jednak ani płynom, ani stałym przedmiotom, jak to często bywa z innymi świecącymi zwierzętami.

Pozostaje nam jeszcze pomówić o rybach pelagicznych. Wszyscy wiemy, że ryby za pomocą owych *pletw* nader szybko pływają i dlatego nie potrzebują trzymać się wybrzeży, żywiołem ich jest otwarte morze i dlatego żyją one tu tłumnie. Łatwo wyobrazić sobie możemy, jakie niezliczone zastępy ryb kryje ocean, gdy się zastanowimy że u pewnych gatunków samica złożyć może co rok sto tysięcy, milion, a nawet kilka milionów jaj. Wprawdzie nie ze wszystkich jaj wykłują się rybki; mnóstwo jaj zostanie zjedzonych natychmiast; wiele innych jaj zepsuje się i zniknie w morzu. Wreszcie młode rybki są łakomym kąskiem dla innych zwierząt, gdyż morze jest olbrzymim polem rzezi, na którym zwierzęta rodząc się niezliczonymi miliardami służą natychmiast jako żer miliardów, czyhających na nie rabusiów. Pomimo to z owej niezliczonej liczby rybich jaj, pewna cząstka ocaleje, skończy swój rozwój wśród ogólnej rzezi, a z tej cząstki powstanie tyle ryb, iż w pewnych epokach wędrują one gromadami tak wielkimi, iż możnaby je wziąć za małe wysepki, pływające po powierzchni oceanu.

(d. c. n.)

## Marya Ilnicka.

Z grona zasłużonych kobiet społeczeństwu naszemu, ubyłaby znowu jedna szlachetna postać. Nie szukając rozgłosnej sławy, nie goniąc za wyróżnieniem, ś. p. Marya Ilnicka poświęciła długoletni swój żywot, począwszy od wczesnej młodości do końca prawie życia, pracy literackiej, podążając wytrwale w obranym kierunku rozbudzania pięknych i szlachetnych uczuć w duszach swych czytelników.

Ukochała ona pracę i tych, dla których się poświęciła, a miłość ta czysta i bezinteresowna była jedyną i najlepszą jej nagrodą w tem życiu. Jako autorka licznych prac literackich i trzydziestoletnia redaktorka „Bluszczu,” starała się Marya wskazać drogę ku dobremu, ucząc, jakimi być powinny polskie niewiasty.

Urodzona w Warszawie w 1825 r., ś. p. Marya wcześniej przez ojca osierocona, dziecinne swe lata przepędziła na wsi pod troskliwą opieką ukochanej matki, która w jej młodem sercu złożyła posiew najpiękniejszych zalet. Gdy dla dokończenia nauk przeszła następnie na pensję pani Plewińskiej, Stanisław Jachowicz, wykładający tam język polski, w uznaniu wybitnych jej zdolności, zachęcał do pracy na polu literackim.

Długie wszakże lata kryła się młoda poetka ze swemi utworami, śpiewając tylko Bogu i sobie. Dopiero po wyjściu za mąż w 1855 roku, odważyła się wystąpić na widownię publiczną umieściwszy w Bibliotece Warszawskiej piękny swój przekład poematu Waltera Scota: „Pan dwóchset wysp”, którym od razu zdobyła sobie należyte uznanie, gdyż piękność języka oraz śpiewność i rytmiczność wiersza, są wybitnymi przymiotami jej pióra.

Powodzenie to ośmieliło młodą autorkę tak, że odtąd coraz częściej spotykano w pismach czasowych poetyckie jej utwory, z których wyróżniają się wartością swą literacką: poemat fantastyczny „Paproć”, obraz dramatyczny: „Alchemik”, komedia konkursowa „Kto winiem” i druga: „Panny Konopianki”, grana w teatrze Rozmaitości, wreszcie najpopularniejszy z dzieł jej ówczesnych a poświęcony młodemu wiekowi „Illustrowany skarbczyk, czyli historia polska”, opowiedziana wierszem, który ma wyjść obecnie w trzecim wydaniu. Z drobnych zaś poezji ogólnie znaną jest jej piosenka, śpiewana przez matki nad kołyską dziecka, zaczynająca się od słów: Mój złotowłosy synku maleńki.

Straciwszy męża, a nie mając dzieci ś. p. Marya Ilnicka przyjęła ofiarowane sobie przez wydawcę stanowisko redaktorki „Bluszczu”, czasopisma dla kobiet, gdzie obok rycin poświęconych modom, otworzyła obszerny dział literacki, a oświecając umysły i uszlachetniając serca swych czytelniczek, usiłowała obznajmić je z ogólnym dorobkiem umysłowym świata i wskazać szersze drogi pracy; zawsze jednak w domowym ognisku upatrywała dla kobiety najpiękniejszy i najświętszy cel życia.

Mamy nadzieję, iż wdzięczna społeczność postara się o zbiorowe wydanie prac Maryi Ilnickiej, w których znajdziemy niejedną cenną perłę, przeczoną lub zapomnianą wśród licznych jej prac w różnych dziennikach drukowanych.

Dnia 29 sierpnia r. b. grono wiernych przyjaciół ś. p. Maryi, odprowadziła jej zwłoki na miejsce wiecznego spoczynku cmentarza powązkowskiego, a liczne wieńce pokryły wieko jej trumny.

Piękny też wiersz poświęcił pamięci zmarłej znany literat p. A. Pilecki, kończąc go następującymi strofami:

...Przyszło też młodsze, serdeczne grono,  
By cię do grobu nieść...  
Z duszą w ubiegły czas zapatrzoną,  
Twej pieśni niosą cześć.

\* \* \*

Wieniec pamięci niosą w podzięce  
Za pierwszą uczuć skrę,  
Gdy ich niewinne usta dziecięce  
Szeptają piosnki twe.

\* \* \*

Kobiety — żalu przyniosły datek,  
Cmentarny słysząc dzwon,  
Za siebie twoją — za cnotę matek,  
Za twój serdeczny plon...

\* \* \*

Leć tam skąd przyszło natchnienie twoje,  
O duszo jasna, leć!  
I pij wieczności przezyste zdroje,  
I gwiazdą z wyżyn świeć.

\* \* \*

Kiedy nam serce jęknie boleśniej,  
Wśród smutnych zwątpień mar,  
Przybiegniem znowu do twojej pieśni  
Po żywej wiary czar...

## WNUKA KRÓLEWSKA.

(OBRAZEK SCENICZNY W JEDNEJ ODSŁONIE).

PRZEZ

ZOFIĘ MROZOWICKĄ.

OSOBY:

GRAF HERMAN.  
GRAFINI, jego żona.  
BARBARA, ich córka.  
ANNA, wychowawica.  
JAGIENKA, stara niania Anny.  
POSŁOWIE.

(Scena przedstawia średniowieczną komnatę, o wąskich, kratowanych oknach, w narożnej baszcie feodalnego zamczku hrabiów cyllejskich — sprzętów brak prawie zupełny — do okien wstępuje się po schodkach — przed kominkiem kołowrotek — przed jednym z okien zydeł drewniany i krosna, w których haftuje Anna).

SCENA I.

ANNA (sama, haftując): Tak mi smutno, tak smutno, mój Boże! Trzy dni już nie była u mnie sędziwa Jagienka — pewno jej w izbie czeladniej jaką ciężką zadano robotę — a mnie czegoś tak brak, tak mi tęskno, gdy długo mojej niani poczciwej nie widzę, ona jedna kocha sierotę! (ociera łzę rękawem i patrzy w górę, ku oknu; nagle zrywa się, klaszcząc w dłonie): Ach, żorawie, żorawie! z północy lecą, bo to już jesień blisko... Zawsze niania, na widok tych ptaków, każe mi myśleć o pięknej, nieznaney mi ojczyźnie matki mojej i dziada — leżącej gdzieś hen! daleko — za górami — tam, skąd żorawie i bociany lecą...

SCENA II.

(Wchodzi Jagienka).

JAGIENKA (wchodząc): Jesteś, słoneczko moje? Jesteś moja orliczko?... Zawsze sama, zamknięta przy pracy w swojej izdebce, kiedy stryjowe dzieci wesoło hasają na łowach i po zamkowych podwórcach!

ANNA. Stryjna wykończyć mi kazała to bramowanie złote u lnianej sukienki, którą jej Barbarka mieć będzie na uroczystości turnieju.

JAGIENKA (*gladząc ją po głowie*). Tak! ją ustroją robotą rąk twoich i posadzą na samym przedzie krużganku: aby pany wszystkie i rycerze dziwowali się nad nią, a ciebie gdzieś w kątek schowają, skąd się i przyjrzeć nie będziesz mogła zabawie — wszystkim, aby jeno krzywdą sierocą ludziom nie świecić w oczy!

ANNA (*smutno*). Alboż mnie się i równać z Barbarką, moja Jagienko! ona tak urodziwa, jako mała, a mnie pan Bóg nie dał kraszy ani wdzięku...

JAGIENKA (*ściskając ją*). Dał tobie serce, gołąbko! dał tobie krew poczciwą, co więcej znaczy, niż wszelka krasa



S. p. Marya Ilnicka.

na świecie. Daremnie, ci opiekunowie twój, graf Herman i jego żona, radziły pogrzebać nawet pamięć tego, co cię od ich własnych, niesfornych, krnąbrnych, prostaczych dzieci wyróżniać może; sama słodycz i powaga, malująca się w twoim spojrzeniu, już świadczą, że ty nie z ich dzikiego i niskiego rodu!

ANNA. Zawsze to prawisz mi, nianiu, że matka moja podobno jest córą króla jakiegoś możnego, co władał na północy piękną krainą za górami i „Wielkim” go nazywano — ale wiesz? mnie, choć to słyszę od ciebie, jakoś trudno w te cuda uwierzyć — gdziebym ja zaś miała być wnuczką królewską!

JAGIENKA. O, o dzieciątko moje! a toć ludzie pomną dziada twój, nie tylko moje oczy go widziały, stateczny, słuszny, piękny pan był! Kazimierz z Piastów, mądry i sprawiedliwy, „Królem chłopków” go w naszym kraju wołali, bo dobrym był po równości dla wszystkich i krzywdy ludzkiej nie dopuścił. Ano, nie przeczuł, że przyjdzie na tak ciężką krzywdę od rodzonoego jego siostrzana, własnej jego córce a twojej macierzy!...

ANNA. Na krzywdę? Jakże to było, Jagienko?

JAGIENKA (*siudając na schodkach*). A toć sławią ludzie króla Węgier, Loisa i matkę jego „węgierską panią”, królową Elżbietę — ale ja, com patrzyła na koronę dziada twego, co wiem, że ta korona spocząc powinna na twojej sierocej głowie, przebaczyć im tego nie mogę, że tak źle wywiązały się z przypadającej im nad Kazimierzową sierotką opieki! Matkę twoją, dziecino, aby już nigdy nie mogła o królewski spadek się upomnieć, ledwie dorosła, dali za ubożuchnego grafa, w te dzikie strony, tu, w świat za oczy — i ciebie, mój kwiatuszku, tu hodować kazali w tem rozbójniczym gnieździe, w poniżeniu i prawie w nędzy, na łasce dalekich a niegodziwych krewnych!...

ANNA. Ja się tam na nic nie uskarżam, moja Jagienko! Snać z woli nieba już mi los taki pisano! Tylko czasem lubię, jakby baśni jakiej czarownej, posłuchać tego, co ty mi prawisz, gdy ja w krosienkach dzierzgam niemi złotemi. Na chwilę gotowam naprawdę uwierzyć, że we mnie jakaś księżniczka zakłęta! (*śmiejąc się wesoło*). Tylko, księżniczka pospieszać dziś musi z robotą, bo gdyby tak, zachowaj Boże, stryjna nadeszła a haft nieskończonym zastała, toby jej księżęcą mość spotkało pewno pokaranie!

JAGIENKA. O, biedactwo ty moje! nie za jedno, to pewno za drugie, zawdy cię jakaś srogość spotkać musi. — A toż nie srogość, nie pozwalać ci bawić się ze mną, oddalać mnie od ciebie, ciągnąć zadając robotę — abym jeno temi „głupiami, jak oni mówią, bajkami” z przeszłości głowy ci nie zwracała i nie uczyła cię w tajemnicy dźwięcznej mowy twych dziadów. Toć i dziś przybiegłam tu jeno ukradkiem i chowaj Boże, aby nas razem zastać mieli!

ANNA. Nie bój się, nianiu! nie zajrzy tu dziś nikt do mnie: Fryderyk i Hugo, widziałam, pociągnęli przez bramę na łowy z sokołem — młodsza dziatwa z piastunką na wale — stryjna z Barbarą i Gerdą zajęta rozpakowywaniem tych pak z towarami, co je wczoraj przejeżdżającym spokojnie norymberskim kupcom zrabowano — a graf stryj sam dogląda czyszczenia wszelakiego rycerskiego rynsztunku, który sposobi do owego turnieju, zapowiedzianego na przyjęcie cesarskiego gościa, Luksemburczyka Zygmunta. Nie, nie! dziś nikt nie zatroszczy się o sierotę — możemy sobie śniało pogwarzyć!

JAGIENKA (*z uśmiechem tajemniczo*). A widziałas Hanuś, żórawie?... leciały prosto nad zamkiem i zakruczały właśnie, gdy całym kluczem zawisły nad tą basztą narożną, gdzie ty siedzisz, moja królowo! — Wierz mi, wierz! stara Jagienka, zna się na takich znakach: ptaki wróżą, wróżą coś z północy... czy ja wiem? ale to pewno, że nie darmo tędy leciały.

ANNA (*śmiejąc się*). Co jesieni, nianiu, obiecujesz mi to samo — a jakoś dotąd nie spełniają się wróżby. Ani wiemy nawet co się tam dzieje w tem mojem zaczarowanym królestwie za górami? może ogień je spalił, lub woda zalała? może wilcy pożarli, albo wiatr rozniósł po świecie?...

JAGIENKA (*wrażona*). Ej psotnico, psotnico! Fikle ci się trzymają. A właśnie, że wiem, co się tam dzieje, bo ot i kupcy mi wczorajsi powiadali, nim ich do lochów zamknęto — a kupcy, wiadomo, jeżdżą po świecie; toć byli i u nas, niedalej jak przed kilku laty. Dziwów się od nich nasłuchałam takich, aż mi stare serce z wesela rosło.

ANNA. Powiedzże i mnie, nianiu! ja jeno żartowałam trocha, ale wiesz, że zawsze rada słucham twych powieści?

JAGIENKA. Cuda bo prawią. Widzieli królującą Loisową córkę, Jadwigę, i anioła piękniejby nie odmalował, jak to, co oni powiadają o tej pani. Złotego serca i pięknego lica — nabożna jak święta, a dzielna, że sama w potrzebie dosiąść potrafi rumaka — pracowita, starowna i na książce mądrze uczona! — a już za co najwięcej ją nasi kochają i czczą jak świętą, to, że pogaństwo do wiary świętej nawróciła. Potęga i spokój kwitną w dziedzinie twój, dziada, a obcy i zadróżni sąsiedzi nie śmiały ręki podnieść przeciw silnemu państwu. To wszystko zaś sprawiła słaba dłoń niewieścia, a raczej nie dłoń, ale serce, gotowe zapomnieć o sobie.

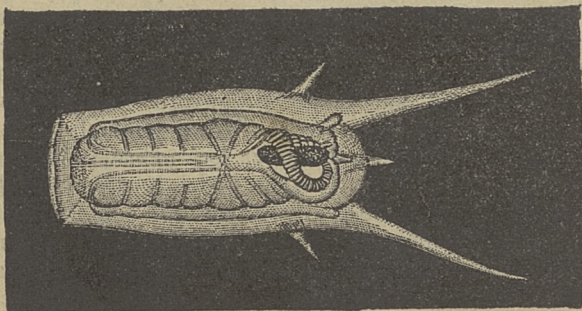


Fig. 99. Sprzągła (Salpa) pojędyńcza,  $\frac{1}{3}$  wiel. naturalnej.

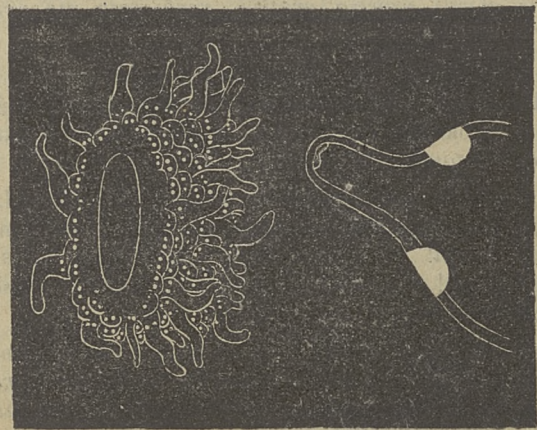


Fig. 101. Narządy świecące iskrzyłudy: ryc. górna, dolna część kolonii; ryc. dolna, pojedynczy osobnik powiększony; na szyi widać dwie pławki świecące.

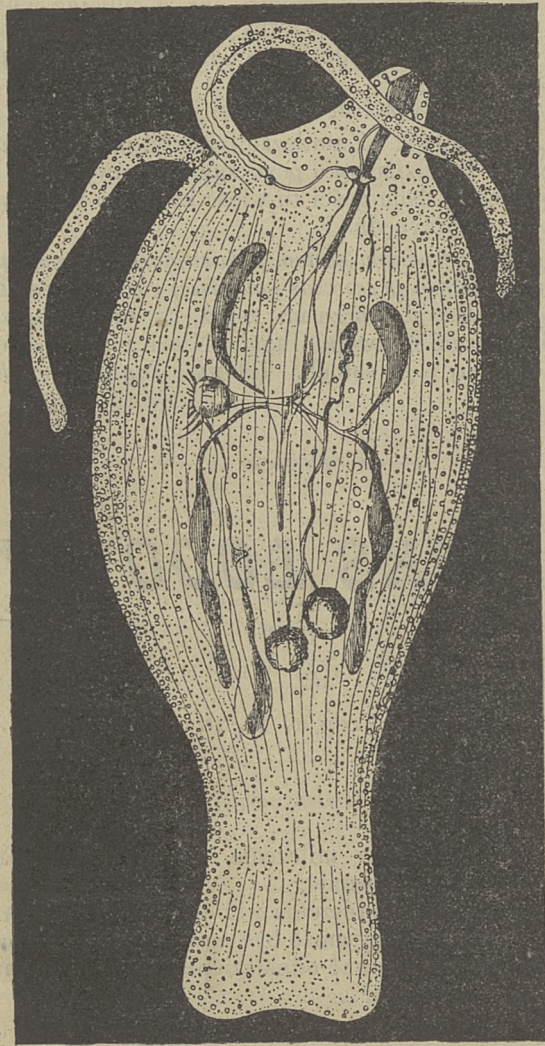


Fig. 102. Ślimak przezroczysty (*Phyllirhoe bucephalum*)  $4\frac{1}{2}$  razy powiększony, przez ścianki ciała widać wnętrze.



Fig 103. Ślimak przezroczysty (*Phyllirhoe bucephalum*) w chwili świecenia.

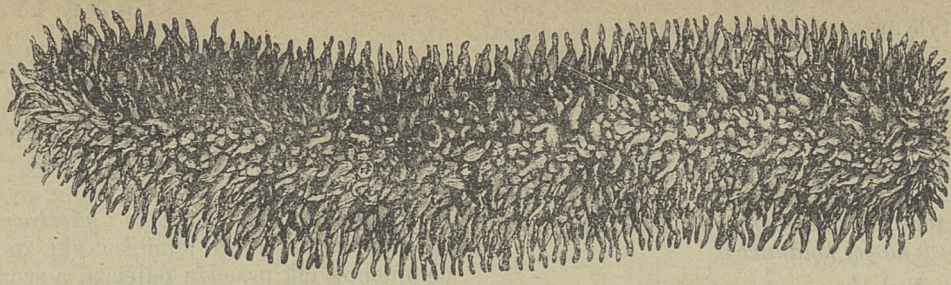


Fig. 100. Iskrzyłuda (*Pyrosoma gigantea*) zmniejszona.

## SCENA IV.

(Ciż sami i graf Herman z Barbarką).

ANNA (*składając ręce z uniesieniem*). Och, szczęśliwa, szczęśliwa Jadwiga! tyle sprawić dobrego, tak być kochaną! Dziękuję ci Jagienko, żeś mi o tej anielskiej pani powiedziała — nie wiem, skąd to się bierze, i dotąd ni razu nie przyznałam się do tego nawet tobie — ale ilekroć słyszę od ciebie o tej krainie dalekiej, serce się tak dziwnie we mnie kołata, taka mnie jakby tęskność chwytta do tych nieznanych mi szerokich błoni nad Wisłą, że jaskółką bym tam polecieć rada i napatrzeć się tego ludu... (*osuwając się na ziemię obok Jagienki i wspiera głowę na jej kolanach*).

(Za sceną słychać sygnał na trąbce).

JAGIENKA (*podnosi się zdziwiona*). Co to Hanuś? słyszałaś? róg się odezwał na moście zwodzonym i przed bramą? cóżby tu za gość mógł być niespodziany?...

ANNA (*jeszcze rozmarzona*). Nie wiem — nie myślę — chciałabym jaskółką stąd polecieć... (*słychać głos rogu odpowiadający z wieży*).

JAGIENKA (*żywo wstępując na schodki wiodące do okna*). Słyszałaś? strażnik odtrąbił z wieży! Doprawdy gości Bóg zsyła w tę głąszę! Kto to być może? spojrzę w dół, ku mostowi, boć z tego okna widok w całym zamku najlepszy! (*Patrzy przez okno, a potem nagle uderza w dłoń*). Hanuś!... Hanuś!... Przez Bóg miły, nasi ludzie!... poznaję przecie te ubiory... (*przez łyzy*) Boże! dzięki ci, że moje stare oczy jeszcze choć raz to oglądają! Hanuś! to może wróżba żórawi!...

ANNA (*zrywa się żywo*). I ja zobaczę — i ja chcę ich widzieć, (*ubiega na schodki ale przytem potrąca krosna, które się przewracają*).

ANNA (*wraca*). Ach!... ja nieszczęśliwa... (*podnosi krosna i żalamuje ręce — mówi w płaczem*). Tkanina! Iniana tkanina!... taka cienka, taka kosztowna! O Matko Boska, cóż ja pocznę sierota!... Patrz nianiu! nad samym haftem pękła! rozdarła szeroko! (*kryjąc twarz w dłoniach*). O doloż moja! co ze mną stryjna zrobi?

JAGIENKA (*zstąpiwszy ze schodów ogląda krosna*). Nieszczęście! ale możeby się to jeszcze jakoś dało naprawić... haftem zasłonić... zcerować? (*tuląc Annę*). Biedna ty gołąbeczka moja! nie drżj tak, nie bój się! ja ci nie dam zrobić nic złego!...

ANNA (*jeszcze przez łyzy*). To darmo — ukarze mnie stryjna srogo! Bóg dopuścił — rady na to już niema — stryjna ma oczy, które wszystko dopatrzają, każdy ścieg, każdą nitczkę!...

## SCENA III.

(Wchodzi grafini).

GRAFINI (*ostrym i gniewnym głosem*). A toż co? Jagę tutaj zastaje?... i to w takiej komitywie z waćpanną? Idź mi stara do kuchni i nie płacz się gdzie cię nie potrzeba, bo tydzień przesiedzisz w piwnicy! (*Anna i Jagienka, które ścisnęły się w chwili wejścia grafini, rozłączają się przestraszone*).

GRAFINI (*do Anny*). A waćpanna się w konszachty ze służbą nie wdawaj i nie trwoń czasu na próżniactwie, bo źle będzie i z tobą! Pokaż robotę! haft powinien być skończony! (*Anna stoi nieporuszona*).

GRAFINI (*pochyliwszy się nad krosnami*). Ha niegodziwa dziewczko!... Tak zniszczyć cenną rzecz taką — strój mojej ślicznej Barbarki! To przez złość i zazdrość z umysłu zrobiłaś! ale poczekaj! nie minie cię zasłużona kara!... (*postępuje ku niej w uniesieniu*).

ANNA (*łękliwie, zasłaniając się wyciągniętymi rękoma*). Stryjno! w tej chwili znów słychać sygnał u bramy i na wieży — drzwi się otwierają, wchodzi graf Herman — za nim wbiega strojnie ubrana Barbarka).

GRAF HERMAN (*wchodząc*). Ciszej, ciszej! nie pora teraz na swary niewieście, gości znacznych jakichś Bóg zsyła — po strojach widać, że jadą z daleka — ważną musi być sprawa, z którą przybyli.

GRAFINI (*mówi prędko i gderliwie*). Dla mnie i to ważna sprawa, że mi ta oto jejmościanka zniszczyła cenną tkaninę, cieniuchną jak przedza pajeczka, a szczerem złotem bramowaną! W cóż ja teraz na uroczystość turnieju ustroję naszą Barbarkę?!

BARBARKA (*która tymczasem wbiegła na schodki i ciekawie patrzyła przez okno, zbiegła z nich i z gniewem wpadła na Annę*). Ty, ty! niezgrabna! jak ty śmiałaś zepsuć coś mojego? musisz to zaraz naprawić, ja ci rozkazuję! rozumiesz? ja muszę mieć tę białą suknię. — (*Anna ze spuszczoną głową składa powoli robotę*).

GRAFINI. Słyszałaś? ona musi ją mieć!

GRAF HERMAN. Zamilczże jejmość! milcz kobieto! (*do Barbarki*). I ty, dzierlatko powściągnij żwawy język. Spokoju mi potrzeba, bom gości tu wieść kazał do tej izby i jeno patrzeć oto jak przybędą.

GRAFINI (*groźnym gestem pokazując drzwi na lewo Annie i Jagience, która przez czas powyższej rozmowy zatrzymała się w progu*). Precz! z oczu mi zejdz, ty darmozjadzie! nieszczęcielko! razem ze swoją Jagą! Niech jeno goście odjadą, porachujemy się z sobą!... (*Anna i Jagienka wychodzą*).

(d. u.)

## SFINKS ŁODOWY,

przez

JULIUSZA VERNE'A,

przekład M. D.

(Dalszy ciąg)

Grobowa pustka i milczenie ponure rozpostarły tu wszechwładne swe panowanie.

A wśród tego spustoszenia widnego zarówno u brzegów jak i w głębi wyspy, czy może być mowa o życiu człowieka? Czy można się spodziewać odnalezienia tutaj Wiliama Guy i pięciu jego towarzyszy?...

Spojrzałem na mego kapitana. Bładość jego twarzy i głębokie zmarszczki na czole wskazywały nadto wyraźnie, że i on począł tracić wszelką nadzieję.

Doszliśmy wreszcie do doliny, w której podług opisu znajdować się miała dawniej wieś Klock-Klock. Ale i tu jak wszędzie zupełny brak życia. Ani śladu chat i namiotów, ani jeden palik lub gałąź drzewa, na których rozpięte były niegdyś skóry zwierząt. Znikły wawozy i pieczary utworzone przez osobliwe steatydy, wyschło i zrównało się koryto w którym płynęły gęste wody strumienia, wijącego się wśród osady. A wobec tak zupełnego przewrotu, cóż się stało z ową liczną ludnością miejscową? Gdzie podziali się ci ludzie silnie zbudowani, na wpół nadzy, lecz uzbrojeni w szczególnego rodzaju narzędzia? Gdzie podziały się owe piękne w swem rodzaju kobiety, którym równych nie znajdzie w cywilizowanym społeczeństwie; — jak się wyraża Artur Prym — gdzie te gromady dzieci, które swą liczbą zwróciły uwagę przybyszów. Tak jest, cóż się stało z tymi osobliwymi ludźmi, o skórze czarnej, czarnych włosach i również czarnych jak heban zębach, dla których widok białej barwy, był przedmiotem najwyższej trwogi?...

Napróżno też szukałem czterech grubych pni drzewa, między którymi rozpięty miał być namiot Too-Wita, gdzie Wiliam Guy, Artur Prym i Dick Peters oraz starsi z załogi Oriona przyjęci byli z oznakami szacunku, gdzie wydaną była dla nich uczta, na której krajowcy spożywali z dziką dra- pieżnością, podane jako przysmak największy, ciepłe jeszcze wnętrzności zwierząt.

Długo i napróżno usiłowałem rozwiązać tę zagadkę, aż nagle jakiś promień światła błysnął w mym umyśle.

— Trzęsienie ziemi! Tak niezawodnie trzęsienie ziemi — zawołałem. — Wystarczyło jednego dnia, aby tak pospo- lite w tych stronach wybuchy wulkaniczne wskutek nagroma- dzenia pary i wyziewów w łonie ziemi, zmieniły zupełnie po- wierzchnię równie małej, jak ta, wysepki.

— Myślisz pan, że to wskutek trzęsienia ziemi znajdu- jemy w tym stanie wyspę Tsalal? — zapytał zgnębionym głosem Len Guy.

— Tak kapitanie, mojem zdaniem jest to rzecz najpe- wniejsza! Tylko bowiem owa siła mogła zniszczyć wszystko, co było na jej powierzchni, wszystko co opisuje tak dokładnie Artur Prym.

Gdy to mówił, Hunt zbliżył się właśnie do nas i po- ruszeniem olbrzymiej swej głowy dawał znaki, że jednego jest ze mną zdania.

— Bo czyż — ciągnąłem dalej — ziemię bieguna połud- niowego nie są natury wulkanicznej? I gdybyśmy popłynęli aż do ziemi Wiktorya, pewny jestem, że zastalibyśmy tam Drebusa i Terrora w pełnym wybuchu.

— A jednak — zauważył Marcin Holt, gdyby to był wybuch, byłyby też ślady świeżej lawy ..

— Nie może być tu mowy o niedawnym wybuchu, przy- puszczam tylko trzęsienie ziemi — odpowiedziałem — a im więcej zastanawiam się nad tem, tym prawdziwszem przedsta- wia się memu sądowi takie rozwiązanie kwestyi...

I w tej chwili przypomniałem sobie, że wedle opisu Pryma, Tsalal należała do grupy wysp, ciągnących się w stro- nę zachodnią, jeżeli więc tamte ziemie nie zostały zniszczone, być może, iż ludność tsalalska szukała na nich schronienia! Należało więc koniecznie zwiedzić je teraz, gdyż wraz z kra- jowcami i reszta załogi Oriona mogła się tam znajdować.

Pospieszyłem podzielić się z kapitanem memi domy- ślami.

— Tak jest — zawołał tenże i lzy zabłysły w jego oczach — tak być rzeczywiście może, chociaż znowu, jakże, mój brat, jakże jego towarzysze zdołali stać uciec? Czyż nie jest więcej prawdopodobnem, że zginęli tu w czasie owego kataklizmu...

Tu Hunt uczynił nagle ręką znak, jakby zachęcał nas do pójścia za nim w pewnym kierunku i sam puścił się szyb- ko przez dolinę do miejsca, na którym już zdaleka jaśniały nagromadzone szczątki szkieletów ludzkich, a które, jak się zdawało, bystry wzrok jego dostrzegł już dawno.

Stanęliśmy na cmentarzysku, na którym rozegrać się musiał straszny dramat owej chwili ogólnego zniszczenia i uczucie grozy sparaliżowało nasze ruchy, przygniatając nie- mą rozpaczą.

— Mój brat! mój drogi brat — jęknął wreszcie Len Guy, klękając na ziemi.

Tymczasem w umyśle moim zbudziły się znowu pewne wątpliwości. Jakże bowiem pogodzić fakt zaszłej katastro- fy z notatkami Watersona, w których zapewniał nas tenże najwyraźniej, że zostawił na Tsalal swych towarzyszy.

A więc w tem trzęsieniu ziemi, które wnosząc ze stanu szkieletów, musiało mieć miejsce przed kilku już laty, zginąć oni w żaden sposób nie mogli. Jeżeliby zaś trzęsienie na- stąpiło po odplynięciu Watersona na lodowcu, to znowu nie możliwem było, aby te białe już i czyste kości należały do ofiar tak niedawnego wypadku

Zatem Wiliam Guy i jego towarzysze nie spoczęli tu jeszcze snem wiecznym. Nie ich szczątki leżały przed nami. Gdzie jednak byli, gdzie należało nam teraz ich szukać, oto najtrudniejsze do rozwiązania pytanie.

Ponieważ dolina Klock-Klock nie ciągnęła się dalej, wypadało nam nawrócić tą samą drogą, aby osiągnąć wy- brzeża. Zaledwie jednak przebyliśmy małe pół milki, gdy Hunt zatrzymał się znowu przed biejącymi, na wół już spruchniałymi kośćmi. Kształty ich wskazywały budowę ciała zwierzęcego.

Były to szczątki jednego z dziwnych tych stworzeń, jakie Prym opisuje, a których nie spotkaliliśmy dotąd ani jedno- go żywego okazu?

Krzyk, albo raczej ryk dziki wyrwał się z piersi Hunta, gdy wielka jego ręka podniosła z ziemi i ukazała nam na- szyjnik metalowy.

Była to obroża miedziana pokryta już śniedzią, na któ- rej wszakże widniały jeszcze wyrte litery, tworzące napis.

Sułtan. Artur Prym.

Sułtan! Taka była, jak sobie przypominamy, nazwa psa, nieodstępnego towarzysza Pryma, psa, który na Gram- piusie, dręczony pragnieniem przeraził swego pana oznakami wścieklizny, który następnie brał czynny udział w ostatecz- nej na tym okręcie walce marynarzy.

Więc zwierzę to nie zatęgåło wraz z okrętem, więc zna- lazło ocalenie na Orionie, mimo, że pamiętniki nie wspomina- ją już o niem wcale.

Tysiące sprzecznych myśli opanowało mój umysł. Nie wiedziałem zupełnie, jak pogodzić te wypadki. A jednak jasnem było, iż rzeczywiście Sułtan musiał żywy towarzyszyć swemu panu aż na wyspę Tsalal, i że dopiero tutaj zginął prawdopodobnie w czasie katastrofy, przygotowanej na zni- szczenie załogi Oriona.

Ale i tu, między temi szczątkami, nie odnajdziemy ko- ści Wiliama Guy i jego towarzyszy, skoro byli oni jeszcze przy życiu zaledwie siedm miesięcy temu...

W trzy godziny później powróciliśmy na Halbran, nie znalazłszy już nic więcej, nic, coby rozświetliło chociaż tro- chę tajemniczość położenia.

Len Guy zrozpaczony i zgnębiony zamknął się w swej kajucie i nie opuścił jej nawet w porze obiadowej.

Szanując jego boleść nie starałem się wcale z nim wi- dzieć.

Nazajutrz wszakże zapragnąłem raz jeszcze przejść wyspę od brzegu do brzegu i przepatrzeć każdy jej zakątek. Za pośrednictwem porucznika otrzymałem od kapitana łatwe na to zezwolenie.

Hunt, Marcin Holt i czterech marynarzy wraz ze mną popłynęliśmy tą samą co wczoraj drogą. Oczywiście wszelka broń była już zbyteczną w obec pewności, że tam nie grozi nam żadna napaść, żadne niebezpieczeństwo. Hunt służył nam, jak zawsze, za przewodnika.

Kierując się ku dolinie Klock-Klock, przechodziliśmy przez te same miejsca, kędy utworzone były owe sztuczne skały i wąwozy steatydowe, gdzie znajdowała się również ciekawa grota, opisana przez Pryma z hieroglificznemi zna- kami, których odtworzony rysunek miał oznaczać wyrazy: „Istota biała” i „kraje południa”.

Wszystko to jednak zrównane, zatarte, niczem już nie pobudzało ciekawości naszej i ziemia ta osobliwa, ta wyjątko- wa na kuli ziemskiej, Tsalal, przestała być wyjątkiem i oso- bliwością.

Okružając wzdłuż wybrzeża wyspę całą, napotkaliśmy też szczątki szopy wzniesionej przez załogę Oriona, dla susze- nia pianki morskiej. Nic wszakże nad te kawałki napróchnia- łych desek i bali, nic coby nam dozwoliło powziąć jakiegol- wiek nowe domysły i przypuszczenia.

Wokoło cisza zupełna, przygnębiająca, której nie prze- rywał nawet okrzyk *tekele-li*, wydawany zarówno przez kra- jowców na widok białej barwy, jak przez olbrzymie jakieś czarne ptaki, ciągnące wówczas w powietrzu.

Gdyśmy doszli do miejsca, w którym Artur Prym i Dick Peters w ucieczce swej dopadli łodzi krajowców, staczając z nimi ostatnią walkę. Hunt stanął nieruchomo ze skrzyżowa- nemi na piersiach rękami.

— A więc Huncie!... — rzekłem do niego.

Leez dziwny ten człowiek zdawał się mnie nie słyszeć i nie zwrócił się wcale ku mnie.

— Czegoż tak stoisz, i o czym myślisz Huncie — rzekłem znowu, dotykając ręką jego ramienia. Tym razem drgnął na całym ciele, a wzrok jego przeszył mnie do głębi.

— No Huncie! — zawołał Hurliguerli — czy ty myślisz tu pozostać? Czy nie widzisz, że tam oto Halbran czeka na nas? Jutro zapewne nawrócimy z powrotem, gdy tu nie ma już co robić!...

Zdawało mi się, iż drżące usta Hunta powtarzały cicho słowa: nie! nie!... podczas gdy całą swą postacią usiłował przeczyć ostatnim słowom bosmana.

Powróciliśmy na statek.

Kapitan nie opuścił dotąd swej kajuty, porucznik też nie otrzymał jeszcze rozkazu przygotowania do odwrotu.

Właśnie siadałem na ławce pod wielkim masztem, gdy ujrzałem zbliżającego się do mnie Len Guy, zmienionego do niepoznania.

— Panie Jeorling — odezwał się cichym głosem — otóż zrobiłem wszystko co było w mej mocy. Powiedz sam, czy mogę jeszcze mieć nadzieję odszukania mego brata?... mnie się zdaje, że wszystko już bezpowrotnie przepadło. Trzeba więc wracać zanim zima nadejdzie.

— Jutro Jem — dodał po chwili przykrego milczenia, jutro przygotuj wszystko do odwrotu.

W tej chwili gruby, szorstki głos jęknął za nami:

— A Prym — biedny Prym...

Głos ten poznałem, był to ten sam, który jednej nocy niepokoił mię we śnie.

## CZĘŚĆ DRUGA.

### A Prym?

Postanowienie kapitana Len Guy opuszczenia z dniem następnym brzegów wyspy Tsalal, smutna rezygnacja jego, pozbawiona nadziei odnalezienia rozbitków z okrętu Orion, ta wyprawa tak nieudana, mimo szczęśliwego przezwyciężenia trudności żeglugi — wszystko to wzburzyło niezwykle mój umysł.

— Jakże to — pomyślałem — więc tych sześciu ludzi, o których istnieniu zapomniały nas przed paru zaledwie miesiącami wiarogodne notatki Watersona, więc tych nieszczęśliwych, oczekujących bezwątpienia dotąd ludzkiej pomocy, zapewne na którejkolwiek z pobliskich wysp, my teraz opuścić mamy? Czyż nie powinien kapitan Halbranu próbować nawet rzeczy niemożliwych, dla uratowania tych, dla których odbył tak trudną podróż?...

Mieliśmy przecież zaledwie święta Bożego Narodzenia, zostawało nam zatem całe jeszcze dwa miesiące pory letniej w tych stronach. Dwa miesiące, to nie za mało czasu, by zwiedzić choćby najbliższe okolice morza i jeszcze przed nadejściem zimy wrócić na północ... A oto Halbran już z dniem następnym miał przygotować się do odwrotu!...

Gdy wszakże żywe me zainteresowanie losami rozbitków

z Oriona, podniecało mój umysł, nasuwając mi powyższe myśli, zimny, zdrowy rozsądek wskazywał mniej świetne warunki, jakie pociągały za sobą dalsze poszukiwania.

Bó jeśli dotychczas Halbran posuwał się drogą dokładnie zakreśloną wśród obszarów wodnych, dążąc do ściśle oznaczonego celu, jakim była wyspa Tsalal, teraz, musiałyby tylko błądzić, narażając się na Bóg wie jakie niebezpieczeństwa. A potem sama niepewność jakiemu losowi uległa ludność tsalalska i wraz z nią nasi nieszczęśliwi... Przyjąwszy bowiem, iż zdołali się ci ostatni mianowicie, uratować w chwili ogólnego zniszczenia wyspy, cóż zapewnia, że są na najbliższych jej łądach? Czyż nie mogli również dobrze w swej ucieczce być porwani przez silny prąd, i uniesieni daleko, jak to miało miejsce z łodzią Pryma i Petersa... Bo, że ten świat podbiegunowy posiada więcej łądów nad te, któreśmy dotąd zwiedzili, uznawałem za rzecz zupełnie pewną. W każdym razie jednak, były to ziemie okryte dotąd zupełną tajemnicą; dziwy bowiem, które opowiadał Prym, z czasów, gdy łódź jego z coraz większą gwałtownością zdążała ku rozstwierającej się przed nią przepaścią, nie można było brać w poważny rachunek, uważając je raczej za przywidzenia halucynacyjne.

(d. c. n.)

## Z DALSZEGO ŚWIATA.

W górach Alaski. — Wyprawa do bieguna południowego.

W Ameryce, w górach na Alasce poszukiwacze złota znaleźli wielkie jezioro, otoczone skałami, a w jeziorze tem nie wodę, tylko olej skalny, wypływający z gór, w których są niesłychanie bogate pokłady węgla kamiennego, dotychczas wcale nie wydobywanego z powodu braku wszelkiej komunikacji, a przynajmniej niesłychanie utrudnionej. Z tych pokładów węgla sączy się nafta do wielkiego zbiornika, zamkniętego skałami naokoło. Z badania zaczerpniętych prób okazało się, że ten wielki zbiornik napełniony jest naftą wyborowego gatunku. Z Nowego Yorku wysłano zaraz komisję znawców, która zbadała miejscowe stosunki, nabrała pewności, że w górach Alaski są niewyczerpane pokłady węgla kamiennego, a zapasy są tak znaczne, iż wystarczą przez długi czas na użytk całego świata.

Wyprawa do bieguna południowego wyszła obecnie z Antwerpii pod kierownictwem p. de Gerlach na śrubowcu „Belgica”. Drogę ma wytkniętą przez Las Palmas, Rio de Janerio, Montevideo i Punta Arenas. Główne miasto Ziemi Ognistej nad cieśniną Magelańską, będzie ostatnią stacją, gdzie wyprawa zaczerpie węgla; stamtąd popłynie w kierunku południowym i wschodnim do Ziemi Graham'a, do wysp Enderby, Ziemi Wilkes'a aż do Ziemi Wiktorii, gdzie przeziemuje i dokona różnych badań naukowych. Państwo belgijskie uchwaliło na ten cel 160,000 franków, reszta zaś w sumie 130,000 fr. wpłynęła ze składek publicznych.

**Przypominamy o wczesnem ODNOWIENIU PRENUMERATY, na kwartał IV-ty dla uniknienia zwłoki w przesyłce Pisma.**

### PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE rocznie rs. 4, z przesyłką pocztową rs. 5 — stosownie do tej ceny półroczna i kwartalna. Rocznie w Austrii 10 koron, w Prusach marek 10; — stosownie do tego półroczna i kwartalna.

ADRES REDAKCYI, ULICA Mazowiecka Nr. 10 NOWY.

TREŚĆ: Mały artysta, wiersz (z ryc.) — Życie w oceanie przez Dr. M. Stefanowską (z ryc.) — Marya Ilnicka (z portretem). — Wnuka królewska, obrazek sceniczny w jednej odsłonie. — Sfinks lodowy, Juliusza Verne'a, przekład M. D. — Z dalszego świata — Dodatek: Anioł na ziemi, wiersz (z ryc.) — Wieczorek u gilów przez St. Ż. — Jagienka przez Z. R. — Łamigłówki i rozwiązania. — Skrzynka do listów. — Dodatek książkowy: Poza gniazdem przez Teresę Jadwigę.

Redaktorka Ludwika Hauke. Дозволено Цензурою. Варшава 6 Сентября 1897 г. Wydawczyni Marya z Chomętowskich Bałińska.

W drukarni Noskowskiego, Warecka Nr. 15.

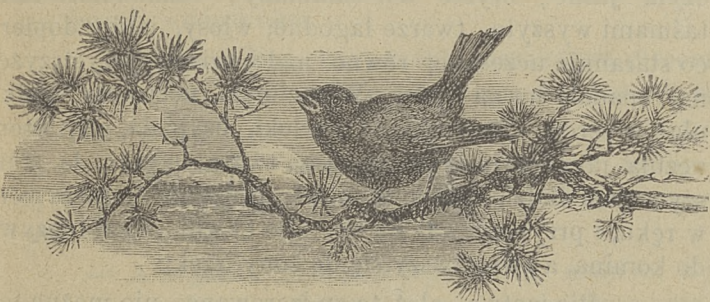


# WIECZORY RODZINNE



## ANIOŁ NA ZIEMI.

Dziecię! jest mnóstwo aniołów w niebie,  
Co każdy krok twój śledzą z obłoku;  
Lecz tu na ziemi, najbliżej ciebie,  
Czuwa twój Anioł z łezką na oku.  
On cię osłania skrzydły swojemi;  
A więc go kochać i czcić potrzeba,  
Bo kto zasmuci anioła ziemi,  
To jakby smucił Aniołów z nieba.  
Czcij więc i kochaj matkę jedyną,  
Bo to twój anioł droga dziecino.



## WIECZOREK U GILÓW.

Było to w bardzo gorący dzień letni. Zmęczona usiadłam na ławce w ogrodzie i z wielką przyjemnością przyglądałam się zieleni drzew i barwnym kwiatom, skąpanym w świetle jasnego słońca.

W dali kukułka głośno kukąła, wilga wesoło pogwizdywała, jakby drwiąc sobie ze wszystkiego, a mała pliszka uwijała się po ścieżce ogrodowej, zadzierając ogonka.

Nagle pliszka podbiegła do mnie, wskoczyła mi na kolana a przymilając się, zaświegotała: Jesteś grzeczna dziewczynka, więc zapraszam cię dzisiaj na wieczorek do przyjaciół moich gilów, spodobają ci się, bo mają śliczne czerwone kamizelki. Pójdź ze mną a zabawisz się do-

skonale, będzie liczne towarzystwo, rodzina i dużo obcych gości.

Ucieszyłam się bardzo zaproszeniem pliszki i pobiegłam za nią. Przyłączyło się do nas jeszcze dwie pliszki i we cztery skacząc i podśpiewując wybiegłyśmy z ogrodu.

Pliszki objaśniły mnie w drodze, że wieczór odbywać się będzie na starym klonie w lesie. Wkrótce rzeczywiście usłyszałyśmy śpiew, gwizdanie, kucie i świegot zgromadzonego na drzewie towarzystwa.

Orkiestra witała gości, na mnie patrząc z niedowierzaniem. Naprzeciw nas wyskoczyły cztery gile i z wielką wrzawą witały nowych gości. Był to gospodarz i najbliższa jego rodzina.

Rozglądałam się po drzewie z wielką ciekawością, gdyż pierwszy raz widziałam podobne zgromadzenie.

Na najniższej gałęzi mieściła się kapela. Pierwszy śpiewak, to jest chciałam powiedzieć słowik, miał pierwszy głos. Dopomagała mu zawzięcie wilga, a kos pogwizdywał do taktu. Szczygły a nawet wróble udawały, że grają na klarnetach a właściwie mówiąc ćwierkały, dzięcioł od czasu do czasu stukał mocno dziobem, dodając muzyce wspaniałości i hałasu.

Na każdej gałęzce drzewa siedziały rozmaite ptaki, pochylając się i kręcąc, jakby rozmawiały. Najwięcej naturalnie było szarych wróbli, które zdaje się gospodarowały i obsługiwały wszystkich gości.

Na samym wierzchołku drzewa siedziały dwie sroki i bezustannie skrzeczały tak głośno, że je całe towarzystwo t. j. wszystkie ptaki słyszały. O ile mogłam zrozumieć ich mowę, to chwaliły one ciągle swój strój i swoje miłe ułożenie, a obgadwały zawzięcie pliszki i jaskółki. Szczygły przechadzały się po gałęzi niby salonie i pyszniły się ze swoich różnobarwnych szat. Żółta i kraska siedziały same na uboczu, jakby nie chcąc mieszać się z szarem ptactwem. Muszę przyznać, że wyglądało to niemiędrze i niegrzecznie. Za to pliszki były w swoim żywiole. Grzeczne i usługne biegały po wszystkich kącikach, przymilając się wszystkim ptakom i zaglądnę na każdą gałązkę.

Jaskółki szybko przelatywały nad starym klonem, zagadując w przelocie wesoło i dowcipnie swe towarzyski.

Mysikrólik zadowolony z zabawy przechodził od jednych ptaków do drugich, prawiąc grzeczności na prawo i na lewo.

Kukułka zgromadziwszy naokoło siebie skrzydlatych słuchaczy, opowiadała głośno, jak w tym roku udało się jej zręcznie piegży jaja podrzucić i jak jest z tego szczęśliwa, że może swobodnie bujać po lesie i ogrodzie nie troszcząc się o los dzieci. Opodal siedzące turkawki skarżyły się w czułych wyrazach na okropne jej postępowanie, a sikory potakująco kiwały główkami, przyznając im rację.

Czyżbyki bawiły grzeczną rozmową makolągwy a

łebie przypatrywały się nieśmiało temu wszystkiemu i rozmawiały tylko z przepiórkami, odgadując w nich osoby, to jest chciałam powiedzieć ptaki spokojne i niekłótniwe. Co do mnie, to patrzyłam z niemałym podziwem na całe to skrzydlate towarzystwo i muszę przyznać, że bardzo mi się na starym klonie podobało.

Wesoło tam było i tak gwarno, że aż mi się w głowie zakręciło.

Zabawa trwała już parę godzin i zaczęło się ściemniać, ale wtedy właśnie nastąpiła najwięcej interesująca część zabawy.

Gile, chcąc się gościom przypodobać, urządziły iluminację.

W tym celu zaprosiły wszystkie świętojańskie robeczki i przyrzekły im słowem honoru, że żaden przez gości zjedzony nie będzie, kazały im poustawiać się rzędem na wszystkich gałązkach. Śliczny to był widok i zabawa byłaby się ciągnęła jeszcze długo, gdyby nie pewne przykre zajście.

Kukułka pobiła się ze sroką tak zapalczywie, że chwyciwszy się dziobami spadły aż na ziemię pod drzewo, gdzie właśnie stałam.

Odskoczyły od siebie i kukułka zaczęła co sił uciekać, ale sroka, chcąc swój gniew okazać w jakikolwiek sposób, przyskoczyła do mnie i szarpnęła mnie mocno za rękaw. Szarpnięcie powtórzyło się drugi raz, wszystko koło mnie zakręciło się... i przebudziłam się na ławce w ogrodzie.

Był to sen, bo przecież ptaki nie bawią się tak, jak ludzie.

St. Ż.

## JAGIENKA

PRZEZ Z. R.

(Ciąg dalszy).

Po wieczery Marysia przyniosła naręcz świeżego siana, rozłożyła równo na ziemi, niedaleko komina, sama gospodyni przykryła je białem, grubym prześcieradłem, i pokładła spać swoich małych gości, zdjawszy pierwej z nich sukienki porozdzierane na krzakach w lesie. Dzieci odmówiły wieczorną modlitwę. Juraś usypiając już szepnął:

— Jagienko, słyszałaś, ta kobieta mówiła, że jej mąż i syn są „dobrzy ludzie”, do nich to pewnie Jaga mnie prowadziła.

— Zapewne, że są bardzo dobrzy, Matka Boska przywiodła nas do nich.

— A ona powiedziała, że to Pan Jezus nas przyprowadził.

— Juraś, podziękowałeś już Bogu, że masz dach nad głową na noc dzisiejszą, śpijże spokojnie...

Chłopczyk przyzwyczał się podczas tych kilku dni słuchać Jagienki, pociągnął więc na ramiona świtę którą przykryty i usnął.

Jagienka pomimo zmęczenia, nie mogła zasnąć, tak było wezbrane różnemi a sprzecznemi uczuciami.

Po tylu dniach, pierwszy raz pożywiona dostatecznie, ogrzana, mająca dach na głowę i opiekę tej pocziwej kobiety, uczuła słodkie uspokojenie... ale zarazem, gdy odstąpiła od niej groza położenia, strach nękający ją tak okrutnie, przez tyle dni i nocy, stanęła jej w oczach i myśli, matka jej nieszczęśliwa!

Jagienka była już dziesięcioletnią, nad wiek rozwiniętą i roztrofną dziewczynką; teraz mogąc zebrać myśli, wyobraziła sobie bardzo dokładnie, przerażenie matki, gdy zauważono jej zgubienie się w lesie. Nie mogła zasnąć, coś jakby ją podnosiło z pościeli, zdawało się jej, że zerwie się i zaraz biedz zacznie, szukać swej biednej matki!... Ukłękła, złożyła ręce i wzniosła oczy. O Matko Boska Częstochowska, pociesz ją, uspokój, choć we śnie pokaż jej, że jej dziecko ogrzane, syte, przygarnięte do pocziwej piersi, zasnąć by mogło spokojnie, gdyby nie myśl o niej. — Modląc się tak ze wzniesionemi oczami, spojrziała przypadkiem na przeciwległą ścianę, na której wisiał obraz, tej właśnie Matki Bożej, do której zanosila prośby gorące. Doznała uczucia, że ją ta Najświętsza Patronka Częstochowy widzi, słyszy i że ją wysłucha.

Myśli jej przerwała głośna rozmowa w sieni. Kobieta, która dotąd kręciła się po izbie sprzątajac, wyszła, i rozmowa przycichła zaraz, a po chwili drzwi otwarły się i rozmawiający weszli. Jagienka przytuliła już główkę do pościeli, przymknęła oczy. Przerażały ją te męzkie, grube głosy, obawiała się, że zobaczy znów czarne, rozczochrane głowy, jak u tego człowieka z chaty pod lasem. Tymczasem mąż i syn gospodyni, stąpali ostrożnie, mówili półgłosem, by dzieci nie pobudzić. Zasiedli do wieczerzy i jedli z tej samej rynki mleko z kaszą, rozmawiając cicho. Jagienka odważyła się otworzyć oczy i spojrzeć na nich. Jakież miłe było jej zdziwienie, gdy zobaczyła jasne, czyste ich sukmany, różnokolorowemi taśmami wyszyte, twarze łagodne; włosy, jakby dopiero co starannie uczesane, równo nad brwiami przystrzyżone, opadały im na czoło. Westchnęła, uczuwszy wielką ulgę w sercu. Przymknęła powieki, usypiała, gdy wtem uczuła jakąś jasność padającą na twarz. Spojrzała, starszy z tych ludzi, stał nad nimi z zapalonem łuczywem w ręku, i przypatrywał się im. Po chwili rzucił łuczywo do komina, a zwróciwszy się do żony, rzekł:

— Biedactwa, ależ to zmizerowane, nie można ich tak wypuścić w świat, bo to w końcu zginie gdzie marnie, także to stąd do Częstochowy nie miła, nie dwie! gdzie to zajdzie temi drobnemi nożętami...

Gospodyni przygasiła ogień w kominie i w chacie zapanowała cisza.

Dzieci spały twardo, nie wiedziały kiedy dzień się zrobił, nie słyszały gdy gospodarstwo wstali. Gospodyni napaliła ogień na kominie, kręciła się po izbie, przyrządzając śniadanie, jedzono, rozmawiano, a one spały.

— Niech śpią niebożęta, niech śpią — powtarzała pocziwa kobieta.

Gospodarz wyszedł już do jakiejś pracy, chłopak miał zajęcie przy chacie, a ona usiadła na ławie pod oknem i naprawiała podarte i poszarpane ich sukienki.

Około południa, Juraś pierwszy otworzył oczy. Rozejrzał się po izbie, nie wiedząc, gdzie się znajduje, pociągnął Jagienkę za rękę.

— Jagienko, Jagienko, zbudź się i powiedz, gdzie my jesteśmy? prawda, że nie w lesie?

Dziewczynka zerwała się, usiadła na pościeli, przetarła zaspane oczy.

— Nie w lesie... nie w lesie!... jesteśmy u bardzo, bardzo dobrych ludzi.

On już dojrzał kobietę zszywającą jego sukienkę, wyskoczył z pościeli, podbiegł do niej, zarzucił jej rączki na szyję i całował serdecznie.

— Poczekaj, poczekaj, maleńki — broniła się — nie mówięś jeszcze pacierza.

— Ja tak dziękuję, żeśmy nie spali w lesie — zawołał.

— Najpierw podziękuj Bogu, że wstałeś zdrowo i proś, by i dziś zasłaniał cię i bronił od wszystkiego złego.

— O, będę prosił, by mnie bronił i zasłaniał i dziś i jutro i jeszcze jutro i Jagienkę także, i wszystkich ludzi!

Kobieta uśmiechnęła się.

— Dobrze dziecko — rzekła i pogłaskała go po czuprynce.

Dzieci trafiły istotnie na bardzo dobrych ludzi, na kobietę z prawdziwie macierzyńskim sercem. Po pacierzu i śniadaniu, starannie je pomyła, porozczesywała stargane ich włoski, poubierała w sukienki naprawione, wyczyszczone, i gdy gospodarz przyszedł o południu, wyglądali oboje, nie jak małe włóczęgi, za jakie ich wczoraj wziąć było można, ale jak śliczne panięta. Uśmiechnął się do nich.

— O, ó, co to za honor! miecznikówna i starościc pod moim dachem!

Jagience zrobiło się nad wyraz przykro, zdawało się jej, że ten człowiek, którego żona zrobiła im tyle dobrego, żartuje sobie z nich.

— Nie żartujcie z nas — rzekła rozżalonym głosem — my tacy biedni!... Dalej nie mogła mówić, bała się rozpłakać.

— Jagienko — zawołał Juraś — on nie żartuje — ja jestem doprawdy starościc, bo mój ojciec przecie prawdziwy starosta!

— A to junak będzie z tego malca, małe to, a już takie czupurne — rzekł gospodarz, a zwróciwszy się do żony zaczął opowiadać: — Chodziłem po całej wsi, nigdzie koni dziś niema. Tak, jak ci mówiłem, zabrali owi ludzie, którzy się kręcili po wsi; nietylko konie i wozy pod prowiant dla wojska szwedzkiego, ale brali jeszcze siano i owies, obiecując, że gdy ich król ukoronuje się na naszego pana, to wszystko popłacą! Tymczasem podawali ludziom jakieś papierki, niby to kwitki.

Jagienka usłyszawszy, że koni niema, chciała się żegnać z poczciwymi ludźmi i iść dalej, jak szła dotąd, piechotą. Przedstawiono jej, że choć dzień jeden przeczeka a gdyby i dwa, to później jadąc wozem, jeszcze i tak prędzej stanie w Częstochowie, niż idąc... Z wioski tej do Częstochowy jest jeszcze około dziesięciu mil drogi; nimby pieszo doszli oboje, kto wie, czy Szwedzi nie podsunęliby się tymczasem pod Jasną Górę, że przystępu do niej już nie będzie.

Musiała Jagienka usłuchać tej dobrej i życzliwej ra-

dy; serce się jej na tę zwłokę ścisnęło, ale uznała, że puszczając się zaraz w drogę, celu nie przyspieszy. Juraś rad był bardzo, że jeszcze tu dłużej zostanie; już zaprzyjaźnił się z Frankiem, synem gospodarza i z Kruczkiem, psem podwórzowym. Zaprzęgał Kruczka sznurkiem do ułamanej gałęzi i popędzał biczykiem, który mu Franek zrobił. Jagienka prosiła by dano jej jaką robotę.

— Rybko złota, wypocznij ty sobie, nabiedziłaś się dosyć! a potem, jakaby to mogła być robota dla twoich białych rączek? — rzekła kobieta, gładząc jasne jej włoski.

Jagienka zaczerwieniła się.

— Umiećm zwijać nici bielone z motka na kłębek. Proszę, dajcie mi, a uwinę wam nie przerwawszy nitki, choćby nie wiem jak motek był splątany, bo mama mówiła, że z przerywanych nici, nie wyrobi się gładkie płótno.

Dostawszy motek, zwijała i rozplątywała powoli, ostrożnie, cierpliwie, a kobieta przypatrując się tej zmu-  
dnej pracy, kręciła głową na znak podziwu nad cierpliwością dziewczynki, i rzekła półgłosem, sama do siebie: Dobra to i rozumna pani, ta jej matka nieboga, kiedy od maleńkości zaprawia tak do pracy dziecko swoje, choć paniątko! oj, rozumna...

Dzieci, nie jeden dzień, ale dwa, w chacie tych poczciwych ludzi przebyć musiały, nim konie i wozy wróciły do wsi. Trzeciego dnia nareszcie, gospodarz przyprowadził dla nich wóz uprzężony wymizerowanymi koniętami, wysłał go słomą i posadził na niej dzieci, otuliwszy je troskliwie, gdyż ranek był chłodny. Gospodyni dała im chleba i krajanekę sera na drogę. Jagienka rozrzewniona, ale zarazem szczęśliwa, że jedzie już nareszcie do Częstochowy, zegnała tymczasową swoją opiekunkę, tuląc się do niej i całując ją serdecznie. Juraś usiadłszy na wozie, wesoł i bez troski o dalsze swoje losy, zaraz zaczął trzaskać batożkiem, wołając: Wio, koniki, wio! Mały był jeszcze i bardzo dziecinny, nie zdawał sobie jasno sprawy ze swego obecnego położenia.

— Andrzej — rzekła kobieta do swego męża — może byś ty odwiózł te panięta choć do Sosnowy.

— To się rozumie, żebym odwiózł! ale konie przez Szwedów zamizerowane, więc, że to po drodze, w Brodziu mam kuma, temu je zdam, a on je dalej aż do Sosnowy podwiezie i tam odda komuś pewnemu, co się znów dalej ofiaruje... Tak się prędzej dostaną pod opiekę Matki Boskiej, a Ona już dalej postanowi o nich.

To rzekłszy, umieścił się obok powożącego parobczaka i przeżegnani krzyżem świętym przez Andrzeją, ruszyli z przed chaty.

Jechali w milczeniu, tylko Juraś od czasu do czasu trzaskał z biczyka i nawoływał: „Wio koniki, wio!” Jędrzej parę razy zapytał: „A dobrze wam siedzieć, dzieci?” „Doskonale” odpowiadała Jagienka i jechano nie zatrzymując się.

(d. c. n.)



S Z A R A D A.

Ułożył Jakób Z.

*Pierwsze*, częścią mowy będzie,  
*Trzecie* stoi w liter rzędzie,  
 Owad jest to *pierwsze*, *drugie*  
 Rzeka będzie *pierwsze*, *trzecie*;  
*Wszystko* razem odgadnicie,  
 Gdy w Japonii je znajdziecie.

ŁAMIGŁÓWKA W TRÓJKĄCIE.

Ułożył Gustaw B.

. . . . . Zapełnić kropki literami, aby  
 . . . . . pierwszy rząd oraz pierwsze litery  
 . . . . . utworzyły nazwę poematu A. Mickie-  
 . . . . . wicza. 2) Przymiot wszędzie pożądaný.  
 . . . . . 3) Pierwszy człowiek latający. 4) Miasto  
 . . . . . w Finlandyi. 5) Włoska nazwa nuty. 6) Samo-  
 . . . . . głoska.

ZADANIE KONIKOWE.

Ułożył Puszczyk z Pilawy.

Na	go	wo	i
da	rza	świę	Grze
te	dzie	rza	mo
	do	go	

ROZWIĄZANIA DO N-ru 37-go:

**Homonimu:**

Waga rzeka w Rosyi, na Węgrzech dopływ Dunaju.  
 Waga do ważenia. Waga Antoni, entomolog, Waga Ja-  
 kób, botanik. Waga Teodor, historyk i prawoznawca.

ŁamigłóWki kryształowej:

D  
 T E n  
 Z ł O t o  
**D E O T Y M A**  
 S t Y k a  
 C M a  
**A**

ŁamigłóWki w kwadracie:

C e r a m i k a  
 B o t a n i k a  
 F e l i Ń s k i  
 K o ł o m y j a  
 D z i e r z b a  
 W a r s z a w a  
 E l d o r a d o  
 S a n t j a g o

Skrzynka do listów.

Niechże *Skowronek mazowiecki*, choć niebawem w dalekie odleci krainy, nie zapomina o nas i prześle nam od czasu do czasu wiadomości o sobie. W każdym razie żegnamy cię Skowroneczku serdecznem „do widzenia!” bo nie wątpimy, że zdrów i wesół nie dalej jak z wiosną powrócisz.

Uszyte sukienki *Zośki* i *Amelki* odebraliśmy — aby jednak tak staranna praca mogła otrzymać nagrodę — potrzeba by panielki spiesznie naprawiły pomyłkę i dokładny przysłały adres wraz z oznaczeniem lat swoich.

Jesteśmy twego zdania *Anielciu*, że jesień w naszym kraju, ma swój odrębny, a wielce wdzięczny charakter, nie dziwi nas też wcale, iż z taką radością jeszcze czas jakiś pozostajesz na wsi. Jazda konno jest bezwątpienia zdrową, trzeba jej wszakże umiarkowanie używać. Nadesłane łamigłóWki przejrzymy.

Pospieszamy z odpowiedzią *Zosi W.*, iż Samuel Bogumił Linde, dyrektor byłego liceum warszawskiego, wydał w 6 tomach z 1814 r. „słownik”, w którym porównał język polski z innemi słowiańskimi i objaśnił pochodzenie wyrazów, oraz ich odpowiednie użycie licznemi przykładami z dawnych autorów. Słownik Lindego, jako praca bardzo sumienna i wyczerpująca, pozostał dla nas dotąd powagą w kwestyach pisowni i znaczenia wyrazów. Poprawne i pomnożone wydanie tego dzieła, wyszło w 1860 roku, kosztem Zakładu Narodowego imienia Ossolińskich we Lwowie.

Lud kaszubski, o który zapytuje *Sokół*, należy bezwątpienia do plemienia słowiańskiego i zamieszkuje w tak zwanych Prusach Zachodnich, pas pobrzeżny nad morzem Bałtyckiem. Był czas, iż pod wpływem rządu pruskiego, Kaszubi powoli zaniedbywali swój język, który ma wiele podobieństwa z naszym, tak, iż niezbyt trudno nam go zrozumieć. Liczne jednak pojawiają się obecnie na Kaszubach dzieła i prace literackie, oraz książeczki pisane dla ludu w tym języku, mające na celu utrzymanie mowy ojczystej, a zbiorowe wydania baśni i pieśni ludowych, należą do cenniejszych dobytów literatury ogólnie słowiańskiej. Kaszubi są przeważnie katolikami, a pracowitość ich i skrzętność mogłaby się stać przysłowiową. Jednym z wybitniejszych pisarzy kaszubskich był Floryan Cajuowa, który wydał sporo książeczek ludowych

Uszyte ubranka dla biednych dzieci przez *Marylkę K.* i jej siostrzyczkę *Prenumeratorkę* z południa, odebraliśmy, chętnie też utrzymywać będziemy korespondencyę z paucenkami, które umiały z takim pożytkiem dla siebie i dla drugich przepędzić wakabye.

Trudno nam jeszcze obecnie donieść, jaki wypadnie sąd o pracy *Jadwini T.*, to wszakże powiedziec możemy, iż uszyciem aż dwóch sukienek, złożyła Jadwina dowód wielkiej pilności i że biedne dzieci będą jej z pewnością serdecznie za to wdzięczne.

ŁamigłóWki układu *Laszki* otrzymaliśmy i o ile okażą się odpowiednie, podamy do druku. Rozwiązania też dobre świadczą, że Laszka lubi nawet dla zabawy potrudzić swą pamięć i umysł, co wypadła zawsze na korzyść pracującego.